

**WOJCIECH
CHMIELARZ
RYTUAŁ**

MARGINESY

Copyright © by Wojciech Chmielarz

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

PROLOG

Po tylu latach to miejsce wciąż pachniało krwią.

Pojawiał się tam tak często, jak tylko mógł. Zawsze nocą. Przemykał wśród cieni. Przekradał się pomiędzy szorstkimi pniami górskich drzew. Jego stopy odbijały się cicho od kamienistej ziemi, a zimne powietrze owiewało mu twarz. Przyzywany przez tę woń, kuszony echem ostatniego, pełnego przerażenia krzyku i wspomnieniem spływających po jej policzkach łez.

Minął kolejny zakręt na krętej drodze. Poruszał się z zaskakującą dla niego samego szybkością i świeżością. Jakby każdy pokonany metr odmładzał jego ciało, a przestrzeń i czas spletały się ze sobą, żeby mógł powrócić nie tylko do tamtego miejsca, lecz także do tamtej chwili.

Zamarł, kiedy usłyszał przed sobą głosy. Rzucił się w bok. Schował w ciemności. Przywarł do ziemi. I obserwował. Wkrótce zobaczył dwa promienie latarek, które wędrowały po ziemi, przeslizgiwały się po trawie, porozrzucanych dookoła głazach i pnących się pionowo w górę świerkach. Wstrzymał oddech, a potem skoczył do przodu, zbliżając się do intruzów.

To była jego ziemia. Jego święte miejsce. Nie mieli prawa tu przebywać.

– Znalazłeś?

Kobiecy głos. Miękki i dźwięczny, ale dało się w nim usłyszeć zmęczenie.

– Tak. Już kilka minut temu.

– Naprawdę?

– Nie, kurwa! Nie naprawdę! Przecież jakbym znalazł, tobym ci powiedział! Co ty myślisz? Że mi się podoba takie jebanie się tutaj po nocy?!

Drugi głos należał do mężczyzny. Raczej młodego. Z trudem panującego nad emocjami. Kiedy zmrużył oczy, był w stanie dostrzec ciemne kontury ich sylwetek. On był wysoki i szczupły. Pochylał się jednak nad ziemią, jakby złamało go wpół. Ona była sporo niższa od niego. Tęższa. Promień jej latarki zbliżył się do niego, oświetlając jego obcisły rowerowy strój i skrawek kasku na głowie.

– Ale nie musisz być taki wredny.

– A ty nie musisz zadawać głupich pytań.

Kobieta sapnęła tak głośno, jakby wypuszczała parę z głębi swojego ciała.

– To ty zgubiłeś klucze, nie ja.

– Dzięki za przypomnienie – rzucił kąśliwie.

Począł, aż znowu skupił się na poszukiwaniach, i skoczył do przodu. Trzy duże kroki i przywarł do kolejnego drzewa. Czuł, że drżą mu płatki nosa. W ustach zbierała się ślina, a jego serce płonęło gniewem.

– Może wracajmy po prostu do domu – zaproponowała kobieta.

Mężczyzna prychnął zirytowany.

– I co wtedy? – rzucił. – Nie mamy kluczy! Jak niby dostaniemy się do środka?

– Nie wiem. Ślusarza wezwiemy?

– O tej porze? Niby skąd?

Pokręciła głową.

– Mówiłam, że ten plan wycieczki jest zbyt ambitny.

– Nie! Nie był zbyt ambitny! – warknął mężczyzna. – Gdybyś nie postanowiła robić sobie pieprzonej sesji zdjęciowej, to już dawno byłibyśmy przy samochodzie!

– I co by nam to dało, skoro i tak zgubiłeś klucze?

– Zgubiłem klucze, bo się tu zatrzymaliśmy, bo jej wysokość musiała sobie, kurwa, odpocząć.

– Bo twój plan był zbyt ambitny. Mówiłam ci przecież, że mogę nie dać rady.

Machnął tylko w odpowiedzi ręką i w milczeniu wrócił do przeszukiwania okolicy.

– Trzeba było komuś zostawić zapasowe klucze – odezwała się.

– Ale nie zostawiliśmy, okej. A teraz nie mamy jak dostać się do domu. I może zamiast tyle gadać, weź się do roboty.

Kobieta zastygła na moment i po prostu przyglądała się towarzyszącemu jej mężczyźnie.

On natomiast wykorzystał ten moment, żeby zbliżyć się do nich jeszcze bardziej. Czuł, jak z każdym krokiem napinają mu się mięśnie, jak rośnie w nim podniecenie, jak w gardle rodzi się ryk drapieżnika. Wyobrażał już sobie, jak na nich spada. Jak jego pazury rozrywają im gardła. Jak pięści miażdżą kości. Niemalże potrafił poczuć słodki zapach ich krwi.

To była jego ziemia. Jego święte miejsce.

Właśnie wtedy kobieta niespodziewanie wróciła do swoich poszukiwań. Promień jej latarki padł prosto na niego. Wydała z siebie pełen przerażenia krzyk. On natomiast skoczył w bok, znowu chowając się za najbliższym drzewem.

– Co się dzieje? – zapytał mężczyzna, podchodząc do niej.

– Ktoś tam był!

Mężczyzna poświecił latarką prosto w las.

– Zdawało ci się.

– Ktoś tam był!

Mężczyzna raz jeszcze poświecił w stronę gęstwiny. Promień latarki prześlizgiwał się raz po lewej, raz po prawej stronie drzewa, za którym się ukrywał. W pewnym momencie poczuł jego miękki dotyk na swojej skórze. Zaciśnął zęby i przykucnął, szykując się do skoku.

– Wracajmy do samochodu – powiedział mężczyzna.

Sekundę potem usłyszał ich oddalające się kroki. Wyrżał zza drzewa. Mężczyzna szedł tuż za kobietą, co pewien czas się obra-

cał i zerknął w stronę lasu. W końcu podnieśli leżące z boku rowery, włączyli lampki i pośpiesznie odjechali. Coś w nim wyło, żeby rzucić się za nimi w pogoń, ale powstrzymał się.

Opuścił swoją kryjówkę. Podeszedł do miejsca, gdzie wcześniej znajdowali się rowerzyści. Nagle poczuł pod stopami coś ostrego. Schylił się i podniósł pęk kluczy. Obracał go przez chwilę w dłoni, a potem rzucił daleko przed siebie. Klucze upadły gdzieś na rozciągającej się przed nim górskiej łące.

Odetchnął. Rowerzyści zniknęli. Był tutaj sam. W miejscu, gdzie wszystko się zaczęło. Gdzie nastąpiła przemiana. Gdzie z kogoś zwyczajnego stał się bestią. I był nią już tak długo, że niemal zapomniał, jak to jest być zwykłym człowiekiem.

Ta dwójka teraz zdążyła uciec. Ale wiedział, że pewnej nocy znowu tutaj kogoś spotka.

I wtedy bestia zaatakuje.

– Jezu, jak tu pięknie – powiedziała Justine.

Mortka pomyślał, że jego dziewczyna, bo chyba jednak nią była, ma rację. Ciepłe majowe słońce padało na jego twarz, przebijając się przez gęstwinę liści. Wchodzili na niezbyt wysoką górę, miała ledwo trochę powyżej siedmiuset metrów, ale była najwyższym wzniesieniem od tej strony. Co oznaczało, że w tej chwili za plecami mieli masywne stoki Karkonoszy i Gór Izerskich, a przed sobą rozległą dolnośląską równinę, na której przeplatały się nieliczne wzgórza, wstęgi różnokolorowych pól uprawnych i szare plamy miast.

– Widać stąd Wrocław? – zapytała Francuzka.

Obrócił się tam, gdzie według niego powinna znajdować się stolica województwa. W oddali dostrzegał spory zabudowany obszar z blokami oraz wystającymi w górę kominami fabryk i elektrociepłowni. Ale czy to był Wrocław? Nie miał zielonego pojęcia.

– Chyba nie – stwierdził.

– Szkoda – powiedziała. – Popatrzyłabym sobie jeszcze na nasz hotel – dodała i uśmiechnęła się do niego figlarnie.

We Wrocławiu spędzili dwa pierwsze dni jej pobytu w Polsce. Mortka oprowadzał ją po mieście, którego sam dobrze nie znał, ale ze swojej roli wywiązał się chyba całkiem nieźle, bo Justine wydawała się zadowolona. Nie było to jednak intensywne zwiedzanie. Spali do późna, włóczyli się po mieście, dobrze jedli i kładli się spać prawie o świcie.

Na kolejne dni przyjechali w góry – trochę pospacerować, powłóczyć się po szlakach, ale i tak najwięcej czasu spędzali w pokoju hotelowym i w okolicznych restauracjach.

– To gdzie mnie zabierasz? – zapytała.

Mortka zrobił tajemniczą minę. Bez słowa poszedł do samochodu. Zatrzymali się na poboczu drogi, w środku lasu, niemal przy samym znaku, który informował, że dalej może jechać tylko służba leśna. Otworzył bagażnik toyoty i wyciągnął z niego turystyczny plecak. W środku miał wodę i trochę jedzenia. Zarzucił go sobie na plecy i zapiął pas biodrowy. Zamknął wóz i wrócił do Justine.

Ciągle stała w tym samym miejscu. Przy sporym fragmencie zbocza, na którym nie rosły żadne drzewa poza samotną, poskręcaną przez wiatr gruszą. W pierwszej chwili, kiedy tam trafili, wydawało mu się, że to stary stok narciarski, brakowało jednak jakiegokolwiek infrastruktury. Mieli stąd piękny widok. Cieszyli się nim w milczeniu jeszcze przez kilka minut, aż Justine lekko trąciła Mortkę łokciem.

– To idziemy? – zapytała.

Otoczył ją ramieniem, przyciągnął do siebie i pocałował w czubek głowy. Poczuł owocowy zapach jej szamponu, delikatną woń perfum i zaraz potem przyjemne podniecenie, jakie go ogarnęło.

Puścił Justine, uśmiechnął się. Ona odgarnęła włosy z twarzy i założyła je za ucho.

Poznali się w Hadze, kiedy oboje byli na misji w Europolu. Pojawili się w Holandii mniej więcej w tym samym czasie. Oboje znajdowali się na życiowym zakręcie, chociaż każde z nich z innego powodu. Poszli do łóżka, a ponieważ obojgu im się spodobało, zrobili to po raz kolejny. I jeszcze kolejny. Aż okazało się, że są parą. Chociaż Mortka nie wiedział, czy to właściwe określenie. On był rozwiedziony, ale na nią w Bordeaux czekał mąż. Z którym, jak kiedyś mówiła, nie zamierzała się rozwodzić. Tylko że odkąd przyjechała do Polski, ani razu nie zadzwoniła czy nawet nie napisała

do Pierre'a. Wielokrotnie chciał ją zapytać, co to znaczy, tyle że za każdym razem gryzł się w język. Bo czuł, że to nie jest właściwy moment. A może po prostu zwyczajnie się bał.

Wydawało mu się jednak, że jej przyjazd musi coś znaczyć. Oboje zakończyli misję w Europolu i wrócili do swoich krajów. Nie było więc tak, że wkrótce spotkają się w Hadze i jak gdyby nigdy nic będą kontynuować swój kilkuletni już romans.

Poszli szutrową drogą i zaraz skrzyli w lewo, obok stacji oczyszczania wody. Przed sobą mieli panoramę Gór Izerskich. Nie zachwycali się jednak długo widokiem, bo po pokonaniu zaledwie dwustu metrów poprowadził ją w gęsty świerkowy las. Wędrowali teraz wąską ścieżką. Wokół panowała zupełna cisza, przerywana tylko szumem wiatru i śpiewem ptaków. Mortka zwolnił, pozwolił, żeby Justine poszła pierwsza. Była szczupła, ale nie chuda. Turystyczne spodnie przyjemnie opinały jej pośladki. Miała na sobie białą obcisłą bluzkę, a szyję przewiązała czerwoną apaszką. Mortka przyglądał się jej i pomyślał, że w tej właśnie chwili jest po prostu szczęśliwy. I mógłby tak z nią wędrować jeszcze długimi godzinami.

Justine spojrzała na niego przez ramię.

– Przywiozłeś mnie tutaj, w ten ciemny, straszny las, żeby mnie uwieść, Jacques? Myślałeś, że się przestraszę, będę się w ciebie wtulać, a ty wykorzystasz okazję? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Może...

Zaśmiała się.

– Przyznam, że to byłoby bardzo przyjemne.

Zbliżył się do niej, chwycił ją za biodra i przyciągnął do siebie. Poczuł, jak ocierają się o niego jej jędrne piersi, i natychmiast stwardniał.

– Naprawdę? – zapytał i przełknął ślinę.

Roześmiała się i wyslizgnęła mu się jak małe zwinne zwierzątko.

– Zacerwieniłeś się, Jacques! – zawołała rozbawiona.

– Nieprawda – powiedział, chociaż miała rację. Policzki go paliły, jakby był nastolatkiem, który po raz pierwszy w życiu zobaczył nagą scenę w filmie. Odwrócił głowę i odetchnął dwa razy głęboko, a potem sam się roześmiał.

Justine podeszła bliżej i pogłaskała go otwartą dłonią po piersi.

– Bardzo dawno nie bzykałam się na dworze – stwierdziła lekko, jakby to była najbardziej naturalna i zwyczajna rzecz na świecie.

– Możemy to naprawić.

Rozejrzała się dookoła i teatralnie pokręciła przecząco głową.

– Tutaj? Tutaj nie.

– Czemu? Przecież nikt nas nie zauważy. A nawet jeśli, to co z tego? – zapytał.

– Pełno tu patyków, chaszców i gałęzi. Jakaś mi się wbije w tyłek. Nie, dziękuję. Znajdź lepsze miejsce, Jacques – rzuciła i ruszyła w dalszą drogę.

Mortka zrobił krok za nią i na chwilę przystanął. Wsadził sobie rękę do kieszeni i poprawił ułożenie penisa. Wiedział, że się z nim droczyła. Miała taką samą ochotę na seks jak i on, a może nawet jeszcze większą, ale uwielbiała przeciągać takie sytuacje. Jemu, szczerze mówiąc, też się to podobało. Lubił rosnące między nimi napięcie, podniecenie, które odbierało mu zdrowe zmysły i sprawiało, że potrafił myśleć tylko o jej ciele. A kolejne odrzucenia z jej strony tylko wszystko potęgowały. Aż do momentu, kiedy naprawdę myślał, że oszaleje. Cudownie potrafiła się nim bawić. Kiedyś zastanawiał się, czy Francuzki po prostu tak mają, czy ona jest wyjątkowa.

Przeszli przez las i wyszli na dużą, obficie porośniętą ziołami i trawami polanę. Justine przystanąła, oczy jej się zaświeciły, postanowił więc znów spróbować.

– Może tutaj? – rzucił z udawaną beztroską.

Zmarszczyła brwi, jakby zastanawiała się chwilę nad propozycją, a potem skrzywiła się przesadnie.

– Tutaj?! Fuj! Ty wiesz, ile żyje tu robactwa i różnych gryzoni?!

– No cóż... – Rozpaczliwie szukał w głowie jakichś argumentów, żeby ją przekonać.

– Jacques – powiedziała, nieoczekiwanie chwytając go dłonią za krocze. Jęknął. – Wyobraź sobie, jak bym się poczuła, gdybym leżała naga pod tobą, a ty byś mnie posuwał tymi pięknymi, mocnymi, długimi ruchami, jak to tylko ty potrafisz...

– Wydaje mi się, że poczułabyś się całkiem dobrze.

Przyłożyła mu palec drugiej ręki do ust.

– Cii... Jeszcze nie skończyłam, Jacques. Wyobraź sobie, że jęczę pod tobą, że moje całe ciało się spina, że jestem tuż-tuż najpiękniejszego i najbardziej intensywnego orgazmu w moim życiu, kiedy nagle, nieoczekiwanie przed moją twarzą pojawia się mysz polna? Albo nornica! O węzach nawet nie wspominając! To byłoby najgorsze, Jacques! Najgorsze!

Odsunęła się o dwa kroki i zrobiła zawiedzioną minę.

– To po to mnie tu sprowadziłeś? – zapytała. – Żeby pokazać mi jakąś łakę?

– Nie.

Jemu miejsce wydawało się odpowiednie. Nie wierzył, że Justine nagle zaczęła bać się myszy i węży. Poza tym tutaj co najwyżej mogli spotkać padalca. Ale wiedział też, że nie ma sensu jej namawiać. Żaden, najlepszy nawet argument by jej nie przekonał. Bo teraz chodziło o samą grę. Postanowił więc udawać obojętność.

– Chodź za mną – powiedział i ruszył przed siebie, nie oglądając się na nią.

Gdy już się z nim zrównała, zerknęła na niego co rusz i za każdym razem kąciki jej ust wędrowały odrobinę wyżej w górę.

Przecięli polanę i znów weszli w las. Tutaj nie było ścieżki ani szlaku. Mortka wypatrywał pomiędzy drzewami celu ich wędrówki. Nie znał tego miejsca, mógł opierać się tylko na opisach ze stron internetowych i swojej intuicji, ale wreszcie dostrzegł to, czego szukał. Kamienny mur. Niski, góra pół metra, ale szeroki na trzy, cztery.

Przyśpieszył podekscytowany. Justine za nim. Z każdym krokiem mur rósł, poszerzał się, aż nieoczekiwanie stanęli przed budowlą z szarych, porośniętych porostami i mchem kamieni, która wznosiła się na jakieś sześć metrów. Była tak monstualna, że na moment odebrała im obojgu oddech.

– Co to? – zapytała Justine, zadzierając głowę.

– No właśnie to jest zabawne – powiedział. – Nikt nie wie.

– Jak to? Przecież... To jest ogromne.

– Ogromne, choć to tylko fragment. Najlepiej zachowany, największy, bo w okolicy takie mury ciągną się na kilkadziesiąt kilometrów, może nawet więcej. Nikt tak naprawdę nie wie, kiedy zostały zbudowane. I nikt nie wie po co.

– Żartujesz?

– Nie.

Zrobiła krok do przodu. I dotknęła tajemniczego muru. Gładziła go, jakby był żywą istotą. Mortka stanął tuż za Justine. Nachylił się nad nią.

– Nie zrobiliście żadnych badań. W sensie wy, Polacy. Archeolodzy.

– Coś tu robili – wyszeptał jej prosto do ucha. – Ale dalej nikt nie ma pojęcia, w jakim celu, kto i kiedy to zbudował. To wielka lokalna tajemnica. Może mieć kilkaset lat albo kilka tysięcy. Być może wybudowali to miejscowi pasterze, żeby porozdzielać pola. A może Celtowie w celach religijnych. Kto to wie?

Justine wpatrywała się w mur jak zahipnotyzowana. I Mortka doskonale to rozumiał. W tym miejscu było coś niezwykłego, jakby unosiła się tu dziwna, obca energia. Człowiek instynktownie czuł, że staje naprzeciwko czegoś, czego nie jest w stanie zrozumieć ani wytłumaczyć. Naprzeciwko tajemnicy. I to odbierało dech w piersiach.

Jemu też by odebrało, gdyby nie miał przed sobą Justine.

Pocałował ją w kark. Objął, popchnął delikatnie i przycisnął do ścian. Stęknęła cicho. Wreszcie zbliżała się tak długo odwlekana

przyjemność. Poszukała ustami jego ust. Pocałowali się długo, namiętnie i tak intensywnie, że kiedy wreszcie się od siebie oderwali, niemal stracili czucie w wargach. Dłonie i palce Mortki powędrowały do bioder Justine. Pogładziły jej uda, krocze i wreszcie zatrzymały się na pasku. Rozpięły go, a potem spodnie, żeby zsunąć je w dół.

Właśnie wtedy go powstrzymała.

– Nie – wyszeptała z trudem. – Nie tutaj.

– A gdzie?

Jej wzrok powędrował ku szczytowi muru.

– Na górze.

Szybko ruszyli wzdłuż muru, skręcili za jego załomem. Tam las się kończył i rozciągała się kolejna rozległa polana, a raczej kilka różnych polan, każda poprzecina mniejszymi lub większymi kamiennymi murami. Prawie ich jednak nie zauważyli, bo po przejściu kilku metrów znaleźli miejsce, w którym dało się wspiąć na górę. Wał lekko się tam obniżał, odsłaniając sporą wyrwę. Mortka zrzucił plecak.

– Będzie nas tam widać z daleka – zauważył.

– I co z tego? – rzuciła Justine.

Wskoczyła na wyłom i zaczęła się wspinać. Rozpięte spodnie nieco jej opadały, odsłaniając fragment bielizny. Czarną delikatną koronkę. Podniecenie sprawiało, że Mortka ledwo potrafił złapać oddech. Pożądał jej teraz. Pożądał jej ciepła, jej miękkości i jej wilgoci. Tylko to się liczyło. Tylko te trzy rzeczy z całego wielkiego świata. Pożądał jej bardziej niż oddechu.

Nagle Justine, znajdująca się już prawie na samym szczycie, krzyknęła przeraźliwie. Noga jej się obsunęła i poleciałaby w dół, gdyby nie złapał jej w ostatniej chwili. Z trudem utrzymał równowagę i teraz oboje stali spleceni ciasno na kamiennym rumowisku. Kobieta drżała w jego ramionach, a on stłumił w ustach przekleństwo, wpatrzony w leżące na szczycie muru rozkładające się ludzkie ciało.

Stary golf wtoczył się z charczeniem na teren posiadłości. Bianka wysiadła z samochodu i ostrożnie zamknęła drzwi, obawiając się o pokryte rdzą nadproże. Stan auta był jednak najmniejszym problemem. Dużo bardziej martwił ją dziwny stukot podczas jazdy. W Kopalnicy żyć bez samochodu po prostu się nie dało. Wieś ciągnęła się kilometrami wzdłuż drogi na Kozią Górę. Był w niej tylko jeden sklep, do którego piechotą z domu miała kilkanaście minut, a większy market, przychodnia i urząd znajdowały się dopiero w Starej Kamienicy. Bianka nie miała teraz pieniędzy na mechanika. Pożyczyć też od kogo nie miała. Szary zniknął. Nie wiadomo zresztą, czy zdołałby coś wyskrobać. Pozostawało jej więc tylko jeżdżenie golfem i modlenie się, żeby to, co tak stukało, nie odpadło zbyt szybko.

Dziewczyna wróciła do bramy. Zamknęła ją za sobą i poszła w stronę domu, masywnego ceglanego budynku sprzed ponad stu lat. Solidna niemiecka robota przez dziesięciolecia opierała się lokalnym wiatrom, srogim zimom i bezlitosnemu letniemu słońcu. Od frontu dom był jednopiętrowy, ale wbudowano go sprytnie w zbocze góry, tak że z tarasu na górnym piętrze wychodziło się bezpośrednio do sadu. Od dawna nikt się nim nie zajmował, właściciele pozwolili, żeby zarósł, i właśnie taki Biance bardziej się podobał. Było w nim teraz coś dzikiego i pierwotnego.

Bianka weszła do środka. Nie pukała. Po prostu nacisnęła klamkę i pchnęła ramieniem ciężkie drzwi. W środku panował przyjemny chłód – kolejna zaleta przedwojennych domów. Pomyś-

łała, że tamci budowniczowie musieli znać jakiś sekret, bo postawione przez nich budynki latem dawały wytchnienie od upału, zimą zaś długo trzymały ciepło. Ona mieszkała w domu, który jej dziadek wybudował w PRL-u – latem zamieniał się w piekarnik, a choć zimą wydawali majątek na ogrzewanie, i tak marzli.

Usłyszała wrogie szczeknięcie, a potem tupot psich łap. Z kuchni wybiegł Kajko, kiedy jednak rozpoznał Biankę, zwolnił, przestał warczeć i zaczął machać ogonem. Dziewczyna pogładziła kundla po grzbiecie.

– Chodź, obrońco domu – rzuciła. – Zobaczymy, czy masz wodę.

Przeszła z tuptającym za nią psem do kuchni. W misce znajdowała się jeszcze resztką karmy. Bianka nie wiedziała, czy z kolacji poprzedniego dnia, czy ze śniadania, dosypała więc trochę na wszelki wypadek, nalała także czystej wody. Potem wróciła do przedpokoju i powiesiła bluzę z kapturem na wieszaku.

– Halo! Już jestem! – krzyknęła w głąb domu.

Nikt nie odpowiedział. Czyżby właściciele wyszli? Ale przecież zostawili otwarte drzwi. Poczowała, że po plecach przechodzi jej dreszcz. Jeśli ich nie było, mogłaby szybko zejść do piwnicy, spróbować znaleźć tam skarb, potem szybko odjechać i wrócić na przykład po godzinie, a gospodarzom powiedzieć, że spóźniła się do pracy, bo miała problem z samochodem. Albo że mama gorzej się poczuła.

Tylko czy naprawdę ich nie było? Nie widziała auta na podjeździe, ale to przecież nic nie znaczyło. Czasami trzymali je w starej szopie, którą dawno temu przerobili na garaż.

– Halo! Już jestem! – krzyknęła jeszcze raz i znów odpowiedziała jej cisza. Kajko wyłonił się z kuchni i spojrzał na nią z ciekawością.

To mogła być jej szansa, ale Bianka, z natury ostrożna, postanowiła nie ryzykować. Dlatego najpierw obeszła cały dół, sprawdziła łazienki, salon i pokój gościnny, zajrzała nawet do spiżarki,

a potem wdrapała się po stromych drewnianych schodach na piętro. Tutaj mogła skierować się do sypialni, łazienki, kolejnego pokoju gościnnego lub do gabinetu, w którym niegdyś pracował pan domu, a teraz po prostu spędzał większość czasu. Także dlatego, że właśnie tam znajdowało się bezpośrednie wyjście na taras i do sadu.

Zdecydowała się na gabinet. Pomieszczenie było dość spore. Na centralnym miejscu stało stare drewniane biurko z komputerem, a na półkach nieliczne książki i pozłacane, łuszczące się figurki. Lokalne nagrody biznesowe, które już od dawna nie istniały, a które niegdyś właściciel zbierał hurtowo. Bianka podejrzewała, że po prostu je kupował.

Z pomalowanych na pomarańczowo ścian zwisały trofea łowieckie. Łeb dzika, odyńca z wielkimi ciosami, skóra lisa, wypchany bażant. Szklane oczy zwierząt dziwnie błyszcząły nawet w pełnym świetle dnia. Biankę zawsze przyprawiało to o dreszcze. Nie była żadną weganką ani ekolożką, ale wydawało jej się, że jeśli już zabiłeś zwierzę, trzeba je oskórować i zjeść, a resztki gdzieś zakopać. Tak nakazywał szacunek. A nie wypychać i robić z nich dziwaczne trofea, jakby zastrzelenie bezbronnego w starciu z myśliwym lisa stanowiło nie wiadomo jakie osiągnięcie.

Gorsze były jednak zdjęcia z wypraw łowieckich do Afryki. Wykonano je lata temu. Zdążyły już wyblaknąć, stracić na intensywności, ale wciąż dało się na nich rozpoznać właściciela, krzepkiego wtedy mężczyznę. Szczerzył się ze sztucerem w dłoni nad truchłem zastrzelonej właśnie antylopy, bawoła o ogromnych rogach, zebry czy nawet żyrafy. Ścisnęło ją za serce, kiedy patrzyła na te piękne dzikie zwierzęta, które widziała tylko na filmach przyrodniczych i raz na wycieczce we wrocławskim zoo, a które on zabijał w ramach rozrywki podczas wakacyjnego wypadu.

Nie lubiła gabinetu. Nie lubiła tu wchodzić. Dlatego zdecydowała się sprawdzić to pomieszczenie jako pierwsze, żeby jak najszybciej mieć je z głowy.

Drzwi prowadzące na taras były otwarte. Pomyślała, że może w taki ładny dzień właściciele wyszli do sadu. Nie mieli raczej nic ważnego do zrobienia, mogli sobie po prostu siedzieć na leżakach i cieszyć się majowym słońcem nawet w środku tygodnia.

To niesprawiedliwe, stwierdziła w duchu, że niektórzy mają wszystko, a inni nic.

– Widziałem cię – usłyszała chropowaty głos dochodzący z tyłu. Przestraszona odwróciła się błyskawicznie.

Za jej plecami, w kącie gabinetu, na podniszczonym skórzanym fotelu siedział mężczyzna. Siwowłosa, pomarszczony, strasznie się postarzał w ciągu ostatnich kilku lat, chociaż nie miał jeszcze siedemdziesiątki. W jego wieku jej dziadek wciąż pracował na budowach. Oczywiście, nie nosił już najcięższych rzeczy, ale całymi dniami machał łopatą czy mieszał cement. Właściciel natomiast wyglądał tak, jakby zaraz miał się w sobie zapaść. Kiedyś był wielkim, muskularnym mężczyzną, teraz wydawał się o połowę mniejszy.

– A! Tutaj pan jest – powiedziała Bianka. – Wołałam z dołu, ale nikt nie odpowiadał. Czy coś panu przynieść? Może do picia?

– Widziałem cię, Jagódko. Widziałem cię z młodym chłopakiem. Chcesz ode mnie odejść, Jagódko? Chcesz ode mnie uciec? Nie możesz, Jagódko. Nie po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem. Poza tym mamy pracę, Jagódko. Zadanie. Pamiętasz o piwnicy, Jagódko? Musimy jej strzec! Musimy jej pilnować!

Bianka wstrzymała oddech. Nie podobał jej się ten słowotok płynący z jego ust. Wydawało się, że nigdy się nie skończy. Nazywał ją Jagódką. Czasami jej nie poznawał i dlatego tutaj przychodziła – żeby się nim opiekować. Dotąd, kiedy mylił jej imię, w jego głowie słychać było coś podobnego do wątpliwości. Wahał się, jakby sam sobie zdawał sprawę, że coś jest nie tak, ale nie wiedział co. Teraz jednak mówił zdecydowanym tonem. I pełnym złości.

– Nie pozwolę ci odejść, Jagódko! – krzyknął nagle. – Nie pozwolę ci odejść z żadnym pieprzonym młodzikiem!

Poderwał się z fotela zaskakująco szybko jak na jego stan zdrowia i wtedy zdała sobie sprawę, że przez cały ten czas trzymał na kolanach karabin myśliwski. Chwycił za broń i wycelował w nią.

– Nie pozwolę ci! – ryknął.

Zszokowana dziewczyna nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Coś ścisnęło ją za gardło i odebrało dech. Nogi zrobiły się miękkie i pomyślała, że zaraz zemdleje. Wydawało się to nawet szczęśliwym rozwiązaniem – przynajmniej nie będzie świadoma swojej śmierci.

– Co to za hałasy? – usłyszała kobiecy głos. – O! Już jesteś, Biana.

Do gabinetu weszła żona właściciela – Jagoda. Miała na sobie niebieskie dżinsy i czarną koszulkę, na którą narzuciła koszulę w kratę. Lekko falowane ciemne włosy sięgały jej ramion. Miała już ponad czterdzieści lat, ale nawet bez makijażu wyglądała pięknie. Z gładką, świetlistą skórą, bystrzymi zielonymi oczami i delikatnym, życzliwym uśmiechem. Biana nie rozumiała, jak właściciel mógł je pomylić. Nie były nawet do siebie podobne. Zaczęła się zastanawiać, co teraz myśli sobie mężczyzna, jakie procesy zachodzą w jego zmęczonej głowie i czy to wszystko nie zakończy się w ten sposób, że po prostu zastrzeli je obie.

– Widziałem ją z jakimś młodym chłopcem! – wykrzyknął.

– Biana? – zapytała Jagoda.

– Nie! Jagodę! Ona mnie zdradza!

Kobieta przechyliła lekko głowę i przyjrzała się mężowi.

– Kochanie... – powiedziała głosem, jakby próbowała uspokoić niesforne dziecko. – To jest Biana. Ona nam pomaga, pamiętasz? Być może widziałeś ją z jakimś chłopakiem. Jagoda to ja. Jestem twoją żoną i cię nie zdradzam.

Mężczyzna zmarszczył czoło, jakby próbował ją zrozumieć. Ale nie potrafił. Zdradzał to jego coraz bardziej zagubiony wyraz twarzy. Słowa Jagody, ich sens i znaczenie ciągle mu się wymy-

kały, w jego oczach pojawił się smutek, bezradność, która szybko jednak została zastąpiona czystą zwierzęcą wściekłością.

– Widziałem ją! Widziałem na wałach!

– Kochanie, ale kiedy ty po raz ostatni poszedłeś na wały? Byłeś tam ze mną, i to dawno temu. Nikogo innego tam nie widzieliśmy.

– Ona mnie zdradza! – ryknął mężczyzna, a potem przyłożył karabin do ramienia i wycelował w Biankę. Dziewczynka krzyknęła przestraszona, zasłoniła twarz przedramionami i skuliła się odruchowo.

Strzał jednak nie padł. Kiedy odważyła się otworzyć oczy, zobaczyła, że Jagoda stoi przy mężu. Ostrożnie i powoli wyjmując z jego rąk karabin, odkłada na bok, a potem głaszcze go po ramieniu i delikatnie, ale stanowczo sadza z powrotem na fotelu.

– Już wszystko w porządku, Bogusiu – powiedziała, po czym nachyliła się nad nim i pocałowała go w czoło.

Bianka nie czekała na to, co się dalej wydarzy. Skorzystała z okazji i uciekła. Porwała swoją bluzę z kapturem i pośpiesznie wsiadła do samochodu. Chwyciła za kierownicę, ale wtedy jej ciałem wstrząsnęły torsje. Otworzyła drzwi i zwymiotowała na podjazd. A potem zaczęła po prostu płakać.

– Masz, napij się wody – powiedział Mortka.

Sięgnął do plecaka po bidon i podał Justine. Wciąż drżała, po policzkach płynęły jej łzy, które wycierała nerwowo wierzchem dłoni. Wzięła od niego wodę i wypila kilka łyków. Nagle zgięła się wpół i zaczęła kasłać. Komisarz podniósł rękę, żeby uderzyć ją w plecy, ale ona gestem dała mu znak, że to nie jest potrzebne. Czekał więc cierpliwie, aż dojdzie do siebie. Kiedy w końcu się uspokoiła, powtórnie sięgnął do plecaka. Tym razem wyjął czekoladowy baton, lekko już roztopiony, i podał jej.

– Masz. Przyda ci się trochę cukru.

Odrząciła jego rękę w zaskakująco agresywny sposób. Kiedy podniosła na niego wzrok, jej oczy błyszczały groźnie.

– Nie traktuj mnie protekcyjnie – warknęła.

Przez moment nie wiedział, jak powinien zachować się w tej sytuacji, a potem po prostu schował baton z powrotem do plecaka, odłożył go na ziemię i przeszedł kilka metrów w stronę lasu, tuż za załom kamiennego wału. Kucnął i oddychał głęboko. Gdy zamknął oczy, pod powiekami natychmiast pokazało mu się odnalezione przed chwilą ciało. Na szczęście rozmazane, niewyraźne, pozbawione szczegółów. Nie zdążył mu się przyjrzeć, żeby zapamiętać cokolwiek poza tym, że tam było.

Pomyślał, że trzeba mieć jego szczęście, aby odnaleźć ludzkie zwłoki na romantycznym spacerze z dziewczyną.

Kiedy Justine napisała, że udało jej się wygospodarować kilka wolnych dni i chętnie odwiedzi go w Polsce, postanowił spędzić

z nią czas poza Warszawą. Od paru miesięcy źle się czuł w tym mieście. Był wiecznie zmęczony, niewyspany, drażliwy. Chodząc ulicami, miał wrażenie, że ten cały beton dookoła zaraz wgniecie go w ziemię. Rzadko kiedy spotykał się z ludźmi, większość czasu spędzał w mieszkaniu, próbował czytać, oglądać telewizję i choć regularnie bywał na siłowni oraz biegał na coraz dłuższe dystanse, dni przemykały mu przez palce i sam był zdziwiony, kiedy okazało się, że już nadeszła wiosna. Wiedział, że powinien iść z tym do psychologa, poprosić o pomoc, a przynajmniej sprawdzić, czy nie ma depresji. I na pewno by to zrobił, gdyby tylko w dalszym ciągu mieszkał w Hadze. Tam nie miałby z tym problemu. W Polsce nie potrafił się przemóc. Wciąż zastanawiał się, co by się stało, gdyby o tej wizycie dowiedzieli się jego znajomi, jak by zareagowali. Co było o tyle niedorzeczne, że po tylu latach za granicą mało kogo tu znał.

Dlatego zaproponował jej wypad w Karkonosze. Spędził tam przecież kilka miesięcy podczas jakiegoś głupiego programu wymiany doświadczeń pomiędzy jednostkami policji. Trafił do niego w ramach kary za coś, czego jego szef co prawda nie potrafił lub nie chciał mu udowodnić, a co, jak obaj wiedzieli, zrobił. Podobało mu się wtedy w górach. Przynajmniej do czasu, kiedy przez przypadek wpakował się w kolejne wielowątkowe i skomplikowane śledztwo, a na koniec o mało co nie zginął. A teraz ku swojemu zaskoczeniu zorientował się, że cieszy się z powrotu. Szczególnie że wracał z kobietą, którą... którą... Miał przez chwilę problem, żeby dokończyć tę myśl, a potem doszedł do wniosku, że lepiej, jeśli jednak nie będzie się nad tym zastanawiać.

Gdy wrócił do Justine, ciągle siedziała na ziemi ze spuszczoną głową. Mortka postanowił dać jej jeszcze trochę czasu. Minął ją bez słowa i wspinał się na kamienny wał. Na górze stanął przy samej krawędzi wyłomu, mniej więcej dwa, dwa i pół metra od ciała. Nie zbliżał się bardziej, bo nie chciał zanieczyszczać miejsca zbrodni, a raczej, poprawił się zaraz w myślach, miejsca znalezienia zwłok. Bo przecież nie mógł mieć pewności, że właśnie tutaj

doszło do morderstwa. O ile w ogóle do niego doszło, bo przecież tego też jeszcze nie wiedzieli. Na razie jedynie odnaleźli ciało.

Zaczął mu się przyglądać. Należało do mężczyzny, raczej młodego, choć trudno było to definitywnie stwierdzić, bo miał zmaltretowaną twarz, jakby ktoś kilkakrotnie uderzył go kamieniem. Nie uniemożliwiał to identyfikacji, obrażenia nie wyglądały aż tak poważnie, choć patrząc z tej odległości i pod tym kątem, Mortka miał problemy, żeby dokładniej przyjrzeć się ciału. Wydarte kawałki mięsa, szczególnie w okolicach twarzy i wszelakich tkanek miękkich, wskazywały na to, że dobrały się do niego ptaki i drobne gryzonie, których musiało być tutaj zatrzęsienie. Od pasa w górę mężczyzna był półnagi, stopy miał bosc, a na klatce piersiowej widniały liczne rany, najprawdopodobniej zadane nożem, chociaż coś tu budziło w komisarzu niepokój.

Początkowo uznał, że denat nie mógł zadać sobie takich obrażeń samodzielnie, ale przypomniał sobie opowieści o samobójcach i samobójczyniach, którzy potrafili kilkakrotnie pchnąć się nożem w klatkę piersiową. Rany na głowie mogły powstać w wyniku upadku, a reszty dokonali okoliczni padlinożercy. Tyle że brakowało noża. Mógł co prawda wylecieć mężczyźnię z dłoni i spaść po jednej albo drugiej stronie muru, a teraz leżeć gdzieś w lesie albo na łące, wśród traw i krzewów.

Czyli chodziło o coś innego.

Nagle do niego dotarło, kiedy patrzył na jego stopy. Nigdzie dookoła nie dostrzegł ani butów, ani ubrania, ale gdyby ten przyszedł tutaj boszo, stopy miałyby brudne, poranione, a nie czyste.

Oznaczało to, że był tutaj ktoś jeszcze. Ktoś, kto po wszystkim, co się wydarzyło, zabrał ze sobą rzeczy mężczyzny. I najprawdopodobniej narzędzie zbrodni.

Komisarz poczuł ulgę, kiedy wreszcie doszedł do tego wniosku i upewnił się o jego słuszności. Oraz satysfakcję, jakby właśnie rozwiązał bardzo skomplikowane równanie matematyczne. Albo jedną z tych pokręconych krzyżówek.

Praca w Europolu dawała mu przede wszystkim pieniądze. Po raz pierwszy w życiu godnie zarabiał i nie musiał się obawiać tego, że jakaś niespodziewana katastrofa jak awaria auta albo zniszczona kurtka wyczyszczą jego konto do zera. Poza tym czuł satysfakcję z pracy i był dumny z tego, co zrobił przez ostatnie lata. Niemniej polegała ona w głównej mierze na pisaniu raportów, pilnowaniu, żeby odpowiednie dokumenty trafiły na odpowiednie biurko, i wreszcie umawianiu spotkań. Pod koniec najczęściej zresztą były to po prostu telekonferencje. Ucieszył się więc, że wciąż to miał. Że po tylu latach w Hadze ciągle potrafił patrzeć jak policjant i dostrzegać rzeczy, które umykały zwykłym ludziom.

A potem zauważył kolejną rzecz. Tuż przy ciele. Dwa przedmioty, jakby plastikowe słupki, w których dopiero po chwili rozpoznał wypalone niemal do końca świece. Oraz wychodzące spod ciała białe rozmazane kreski, jakby zwłoki położono na jakimś wykonanym na szczycie muru malunku.

– Szlag – wyszeptał.

Ostrożnie zszedł z wału. Przestraszył się, kiedy nie znalazł Justine w miejscu, gdzie ją zostawił. Na szczęście odeszła ledwo kilkanaście metrów od muru. Stał obok niej, a gdy pociągnęła nosem, podsunął jej paczkę chusteczek i zawahał się, niepewny, jak ona zareaguje.

Zaśmiała się tylko, a potem wzięła chusteczkę, wysmarkała się i schowała ją do kieszeni.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie ma za co.

– Zachowałam się jak suka.

Mortka zrobił minę, która mogła znaczyć cokolwiek, bo w tym momencie ani zaprzeczenie, ani zgodzenie się z nią nie wydawało mu się dobrym pomysłem.

– To nie był pierwszy trup, którego zobaczyłam w życiu – ciągnęła. – Nawet nie jeden z pierwszych. Naoglądałam się ich w pracy. Widziałam przejechanego przez pijanego kierowcę siedem-

dziesięcioletniego dziadka, który jakimś cudem wciąż trzymał pod pachą prezent urodzinowy dla wnuczka. Widziałam dwudziestoletnią Algierkę, którą zasztyletował jej dwudziestojednoletni chłopak. Ona ledwo co przyjechała do Francji, a jemu odbiło po narkotykach. Ich mała córeczka wciąż tkwiła przy jej piersi i próbowała ssać, kiedy przyjechaliśmy. Widziałam naprawdę chore akcje, Jacques.

– Wiem.

– A tutaj się rozkleiłam, jakbym przez całe życie grzecznie pracowała w urzędzie przy biurku. Bo się nie spodziewałam, Jacques. Po prostu się tego nie spodziewałam. Nie w takiej chwili.

Nie musiała tłumaczyć, o jaką chwilę jej chodzi. Przecież mieli się namiętnie kochać w naprawdę dziwnym, chociaż malowniczym miejscu, a zamiast tego natrafili na trupa i na coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak mord rytualny.

– Zadzwońię po policję – stwierdził Mortka, ciesząc się w duchu, że to nie on będzie musiał się tym zajmować.

Chwyciła go za ramię, tak mocno wbijając w nie palce, że aż syknął z bólu.

– Proszę, nie.

– Słucham?

– Nie dzwońmy po policję – powtórzyła.

Zaskoczony potrząsnął głową. Przez chwilę wydawało mu się, że coś jest nie tak z jego znajomością francuskiego. Bo przecież Justine nie mogła mieć na myśli tego, co właśnie powiedziała.

– Pojutrze mam lot powrotny – oznajmiła. – Jeśli zgłosimy to na policję, przytrzymają mnie tutaj. Będę musiała przedłużyć pobyt.

– To chyba jakoś da się załatwić, prawda? Przebukować bilet i tak dalej.

– Ale nie wiadomo, ile to potrwa, zanim pozwolą mi wrócić. A potem na pewno będą jeszcze wzywali na dodatkowe przesłuchania.

– Tak, ale przecież nie będą cię wzywać do Polski. Na pewno da się to załatwić jakoś zdalnie albo poprzez wizytę w konsulacie. W Bordeaux jest nasza placówka?

– Pierre nie wie, że tu jestem! – krzyknęła i chwyciła Mortkę za koszulkę. – Powiedziałam mu, że wyjeżdżam na babski weekend z koleżankami z Europolu. I że lecimy do Hiszpanii, żeby się wygrzać na plaży, zanim zwałą się tam turyści. Wiesz, o czym myślę przez cały czas, jak tutaj z tobą jestem? Jak mu, kurwa, wytłumaczyć, że przez ten tydzień nie zrobiłam żadnych zdjęć! I jak sądzisz, co on sobie pomyśli, kiedy dowie się, że na przesłuchania w sprawie morderstwa wzywa mnie polska policja?

Puściła go, a on z trudem przełknął ślinę.

– Ja to rozumiem – skłamał, bo tak naprawdę nic nie rozumiał, a już najbardziej jej rozpaczy i strachu przed tym, że Pierre się o nim dowie. Jakubowi wydawało się, że mają to już za sobą. Że jej mąż o nim wie, a przynajmniej domyśla się jego obecności w życiu Justine. Przecież tych dwoje żyło raczej obok siebie niż razem. Nie mieli nawet dzieci ani żadnego wspólnego zwierza. – Ale ten człowiek został zamordowany i...

– I co z tego?! Moje małżeństwo ma się rozlecieć z tego powodu?! Pewnie na końcu i tak się okaże, że to jakiś lokalny pijaczek, który pokłócił się z innym żulem.

Mortka dobrze przyjrzał się ciału i był pewien, że to nie jest żaden lokalny pijaczek.

– Boisz się, że twoje małżeństwo się rozleci? – zapytał.

Justine gwałtownie posmutniała. Odwróciła się do niego plecami, bo nie chciała, żeby widział teraz jej twarz. Położył jej dłoń na ramieniu, chociaż obawiał się tego, że ona ją odrzuci. Nie zrobiła tego. Uściśnęła ją mocno, a potem spojrzała mu prosto w oczy.

– Mówiłam ci, że się z nim nie rozwiódę, Jacques – powiedziała. – A to teraz... To i tak miało być pożegnanie.

– Pożegnanie? – powtórzył za nią. – Pożegnanie?! A kiedy niby zamierzałaś mi powiedzieć, że to jest pożegnanie?

– Jacques...

– Przestań, kurwa, nazywać mnie Jacques! – ryknął. – Mam na imię Jakub! Kuba! Nawet wy, Francuzi, jesteście w stanie to powtórzyć!

– Kuba...

– Pożegnanie jest wtedy, kiedy obie strony wiedzą, że się żegnają. A nie wtedy, kiedy jedna coś sobie wymyśla i nic nie mówi drugiej!

– A co myślałeś, że się stanie, Kuba?! – krzyknęła. – Że rzucę wszystko?! Zostawię całe swoje życie?! Karierę, znajomych, przyjaciół i męża po to, żeby żyć z tobą w Polsce i robić tutaj niby co?! W Polsce! Kuba... – Potrząsnęła głową, jakby sama nie wierzyła, że musi tłumaczyć mu oczywiste rzeczy. – W Hadze było nam ze sobą dobrze, ale to była Haga. A teraz jest życie.

– Justine...

– A może ty zamierzałeś przeprowadzić się do Francji? – przerwała mu. – Nawet nie do Bordeaux. Do Lyonu albo do Paryża. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym? Pojawił się w twojej głowie choć raz taki pomysł?

Jego mina starczyła jej za całą odpowiedź.

– Znaleźliśmy ciało – powiedział cicho.

Machnęła ręką.

– Przecież nie możemy udawać, że nic się nie stało. Ktoś kogoś zabił, a ty chcesz to po prostu zignorować?

– Nie – odparła. – Chcę, żebyś mnie w to nie mieszał.

– Ale też tutaj jesteś.

– W takim razie zawieź mnie do Wrocławia. Znajdę jakieś połączenie do Francji i wrócę do domu. Ty przyjedziesz tutaj jutro. Sam. I wtedy odnajdziesz ciało i zadzwonisz na policję. Kiedy ja będę tysiące kilometrów stąd.

– Jesteś policjantką. Wiesz, że w takim śledztwie liczy się każda godzina.

– Daj spokój! Przecież on tutaj leży co najmniej od kilku dni! Jeden dzień więcej, jeden dzień mniej niewiele zmieni.

– Zostawiliśmy ślady.

– Niby jakie? Kilka obsypanych kamieni. Nie zbliżałam się do samego ciała. Ziemia jest kamienista, sucha i twarda, więc nie ma odcisków moich butów. Do jutra nie będzie żadnego dowodu, że kiedykolwiek tu byłam. A nawet jeśli znajdą mój włos, powiesz, że pewnie przyczepił się do twojego ubrania i tutaj spadł.

Mortka stał bez ruchu, jakby nogi wrosły mu w ziemię, ale w środku się w nim gotowało. Wszystko, czego się nauczył, całe jego doświadczenie mówiło mu, że to błąd. Że nie zważając na protesty Justine, powinien wyjąć komórkę, wybrać numer i opowiedzieć, co się właśnie stało.

– Proszę cię, Kuba. Zrób dla mnie tę jedną ostatnią rzecz. Nie mieszaj mnie w to. To tylko jeden dzień. Jeden dzień, który nic nie zmieni.

Nieprawda, pomyślał. To jeden dzień i jedna prośba, która zmieni wszystko. Przynajmniej między nimi.

– Wracajmy do samochodu – powiedział. – I pośpieszmy się, zanim ktoś nas zauważy.